

Władysław Stachurski dla LL! cz.II

Wtorek, 19 października 2010 r. godz. 19:45

Dziś piłkarze za zdobycie mistrzostwa Polski dostają krocie. Jeszcze do niedawna dostawali spore premie za wygraną w pojedynczym meczu. Przed laty było zupełnie inaczej. Standardowa premia wynosiła 5-10 dolarów. We Francji legionieści za wygranie wszystkich sparingów dostali od klubu 42 widokówki. Bez znaczków. Zachęcamy do lektury drugiej części rozmowy LL! z Władysławem Stachurskim:

Pierwsza część rozmowy

Legię wspierało wielu mieszkańców Warszawy, w tym znane postacie.

- Legię wspierali ludzie o zróżnicowanym profilu, zarówno wiekowym, jak i społecznym. Mogę mówić o grupie aktorskiej typu Łazuka, Holoubek, Dygat, Konwicky, Morgenstern, czy brygada od Hanki Bielickiej. Przychodzono, bo to była atrakcja dająca satysfakcję. Natomiast dla nas to również była frajda, spotkać się z nimi po meczach, czy na kolacji w Szanghaju. To był jeden z lepszych lokali w Warszawie. Do tego jeszcze dochodziły kabarety "Pod gwiazdami" przy Wilczej, róg Marszałkowskiej. Dzięki temu mogliśmy wymienić się doświadczeniami życiowymi, zawodowymi, bo każdy miał z nas inny pogląd na poszczególne sprawy.

We wspomnianych lokalach i w tym towarzystwie świętowano również mistrzostwa Polski oraz inne sukcesy?

- Świętowaliśmy trochę... po arabsku. Był Benek Blaut zwany kulturalno-światowym, który był inspiratorem, a także osobą odpowiedzialną za wszelkiego rodzaju imprezy. Tworzyliśmy grupę z braćmi Blaut, Antkiem Trzaskowskim, "Żmiją", Robertem Gadochą, Kaziem Deyną i Heniem Apostelem. Razem wyjeżdżaliśmy na Sylwestra, spotykaliśmy się, świętowaliśmy. Natomiast byli też starsi legionieści z Brychczym, Jackiem Gmochem na czele. Każdy już z żoną, bądź też towarzyszką życia. Było sympatycznie.

Na jakie nagrody od klubu można było liczyć przed laty?

- To co było kiedyś, a jest teraz... Człowieka pusty śmiech ogarnia. Dawniej nam płacono za wygrany mecz 5-10 dolarów. Takie były czasy. Była taka sytuacja, że mieliśmy jechać do Francji na kilka spotkań towarzyskich. Mieliśmy wysłać pocztówki do kraju, jeśli ograłibyśmy wszystkich rywali. Ostatecznie wyszło, że mogliśmy kupić łącznie 42 kartki, ale... już bez znaczków. Tak to wyglądało.

Miałem to szczęście, bądź też nieszczęście, do wglądu w dokumenty, kiedy Legia grała w Lidze Mistrzów. Będąc dyrektorem sportowym, wiem za jakie pieniądze grano, ale szkoda o tym mówić, bo człowiek wpada w kompleksy.

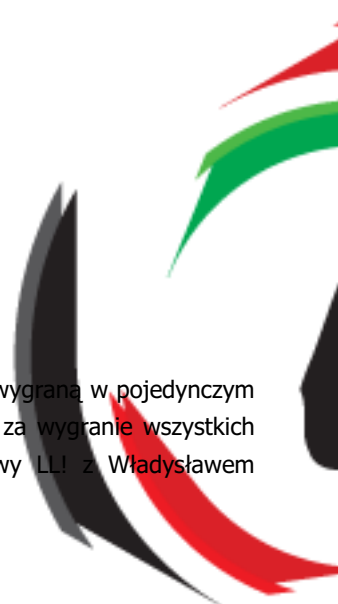
W reprezentacji Polski zagrał Pan 9 razy. Niezbyt dużo.

- Biorąc pod uwagę, że skończyłem grać w wieku 28 lat i mając świadomość stabilnej formy, wierzę, że kontynuując przygodę z piłką, zaliczyłbym więcej spotkań z orłem na piersi. Oczywiście jest to tylko gdybanie. Zagrałem jednak w kilku meczach, do tego niektóre źródła podają, że zdobyłem 500. bramkę dla Polski w potyczce z Irlandią w Dublinie. Zaistniałem w reprezentacji, a że tak się to wszystko dalej ułożyło...

Jak wyglądała kiedyś baza treningowa Legii i same przygotowania do spotkań?

- Tam gdzie było boczne boisko Legii, tam też było nasze główne treningowe. W poniedziałek mieliśmy jedno zajęcie, we wtorek dwa, w środę znowu raz, czwartek dwa, piątek - raz, a w sobotę lub niedzielę mecz. Tak wyglądał mikrocykl. Oczywiście było to czasami zaburzone. Wyjazd autokarem na Śląsk zajmował 6-7 godzin. Jak wracaliśmy w nocy, to człowiek budził się około południa następnego dnia. Nie było ustalonego konkretnego dnia wolnego, bo jeżeli ktoś się nie łapał do osiemnastki meczowej, to grał w rezerwach.

Inna sprawa, że kadry zespołów ligowych nie były tak liczne, jak dzisiaj.



- Dokładnie tak. Pamiętam, że gdy zdobywaliśmy mistrzostwo w 1969 roku, to nasza kadra liczyła 16 zawodników, a grało zwykle 13! Takie były czasy. Do tego piłkarzami opiekowało się dwóch trenerów - Jaroslav Vejvoda i Edmund Zientara. Jak pojechaliśmy do Stanów Zjednoczonych to Vejvoda przekazał Zientarze pałeczkę i obowiązki szkoleniowca. Natomiast Czech czuł się do końca wyjazdu jak VIP. Odwróciły się role. Trzeba przyznać, że był to facet z klasą. Dał Edmundowi pełne pole do popisu, ale podpowiadał mu, konsultowali razem wspólne kwestie. Pomagał mu. Tak to wyglądało.

Gdzie trenowaliście zimą?

- Teraz jeździ się na zagraniczne obozy, a kiedyś jeździło się do Rembertowa. Z prostego powodu - było blisko. Natomiast po zakończeniu sezonu, podobnie jak inne ligowe zespoły, wyjeżdżaliśmy na zagraniczne tournee np. do Ameryki Południowej. Zazwyczaj na miesiąc. Sporo jeździł Górnik Zabrze czy Polonia Bytom. Inna sprawa, że się na tych treningach zasuwało! Jak przyszedł Vejvoda, to zaczął od tego, co można zrobić najszybciej - wypracować zdrowie. Prosta i naturalna selekcja, biologicznie słabsi odpadali. Albo się załapiesz, albo nie.

Jak wyglądało wspólne życie z innymi sekcjami?

- W tamtych czasach Legia była jednym z największych klubów w Europie. W skład klubu wchodziło 25-26 sekcji! Non-stop coś się działo. Na naszych boiskach trenowaliśmy my, rezerwy oraz juniorzy. Na tzw. "Maracanie", od strony Myśliwieckiej nawet pies z kulawą nogą by nie zajrzał, a coś się działo. Wówczas był wymóg, że każdy z I-ligowych klubów musiał mieć 12 zespołów młodzieżowych! Ludzie, to teraz tego nie ma. Tworzy się fundacje, szare wilki, zielone pepegi... Wszystko się pozmieniało. Z kolei w II-lidze trzeba było posiadać 8 tego typu ekip. I nie można było podpisać umowy z satelickimi drużynami typu Delta, skąd się ściągало graczy. Wacek Kuchar kochał dzieciaki i z nimi bawił się na pierwszym boisku. Była piaskownica do skoku w dal, gdzie ćwiczyli nasi bramkarze. Na jednej ze ścian w salce, była namalowana farbą bramka, gdzie sprawdzało się celność strzałów. Nazywaliśmy to wówczas "małpi gaj". Vejvoda porobił szubienice, płotki i inne sprzęty, i każdy z nas tam ostro zasuwał. Nie chcę porównywać, bo tam, to ja wiem co robiłem. Teraz nie chodzę na treningi Legii i ciężko mi się odnieść, ale nam po godzinie nie wyłączali światła.

W natłoku zajęć był czas, żeby iść oglądać kolegów z innych sekcji w akcji?

- Większość piłkarzy było wszechstronnie utalentowanych. Nie chwalać się należałem do tej grupy, która dawała sobie radę w innych dyscyplinach. Przykład? Władek Grotyński, który do czasu miał rekord Polski młodzików w rzucie dyskiem. Dla niego wyprowadzenie piłki ręką i wrzucenie jej na połowę boiska to było małe piwo. To był ewenement, przez co patrzyli na niego, jak na cyborga. Oprócz tego graliśmy w koszykówkę, spędzaliśmy czas na basenie. Mieliśmy mnóstwo kolegów w innych sekcjach. Przykładowo Józek Przybyła, który był skoczkiem z WKS-u Zakopane. Nim na dobre trafili do swoich klubów, spędzili w Warszawie trochę czasu w wojsku. To są koledzy z ośrodka, w którym mieszkaliśmy i wspólnie się żyło. Dalej, pięściarze, lekkoatleci. Oni przychodzili do nas na mecze, my chodziliśmy na ich zawody. Tym bardziej, że wszędzie było blisko. W hokeja zagraliśmy, jako piłkarze z Okęciem, które awansowało do II-ligi. Wygraliśmy z nimi 5-2. Tylko, że oni mieli normalne stroje, a my ganialiśmy po lodzie w dresach i nie mogli nas dogonić, a nam pozostało tylko unikanie kontuzji. Długo mógłbym wymieniać nazwiska kolegów z sekcji kosza, siatkówki, boksu czy kolarstwa.

Próbował Pan po kontuzji wrócić na boisko?

- Staralem się przez rok. Jeździłem z drużyną na zgrupowania. I jak to często bywa, zupełnie przypadkowo dowiedziałem się, że nie ma co na mnie liczyć, bo jestem... za stary i mam "urwaną nogę". Wówczas, na przełomie 1974 i 1975 roku pierwsza drużyna jechała na tournee do Egiptu. A ze mną różnie było - czasami czułem się dobrze, a innym razem kolano dawało się we znaki. I choć pierwotnie byłem na liście zawodników na wspomniany wyjazd, to szybko się okazało, że mnie z niej skreślono.

Jaki był Pana pomysł na siebie?

- Nie pojechałem do Egiptu, a że byłem reprezentantem kraju i miałem na koncie tytuły mistrza Polski, złożyłem papiery na AWF. Dzięki czemu mogłem studiować zaocznie, co pozwoliło na łączenie przyjemnego z pożytecznym. Wkrótce zacząłem pomagać Tadeuszowi Chruścińskiemu, który w 1975 roku był pierwszym trener rezerw. Trzy lata później miałem już absolutorium i tytuł trenera drugiej klasy, a jesienią 1978 roku stałem się drugim trenerem młodzieżowej reprezentacji Polski. Pracowałem wtedy z chłopakami urodzonymi w 1957 roku - Budką, Motyką, Wróblem, Mikulskim, Walczakiem.

Praca przy reprezentacji nie kolidowała z zajęciami w Legii?

- Nie. Wtedy mogłem to łączyć. Jednak w 1979 roku, kiedy Lucjan Brychczy został pierwszym trenerem, zaproponował mi współpracę. Dwa etaty ciągnąłem jeszcze przez nieco ponad pół roku, ale było ciężko i musiałem z czegoś zrezygnować. Wybór padł na Legię i asystowałem "Kiciemu". Po nim przyszedł Ignacy Ordon, a latem 1981 roku pierwszym trenerem mianowano Kazimierza

Górskiego, który akurat wrócił z Grecji. Górskiemu pomagał Lesław Ćmikiewicz, a ja choć nadal byłem na Łazienkowskiej, to miałem już mniej zajęć. Prowadziłem indywidualne ćwiczenia z zawodnikami, którzy wracali po kontuzji i wymagali dojścia do optymalnej formy.

Nie szukał Pan ciekawszego i ambitniejszego zajęcia?

- Pojawiła się propozycja pracy z reprezentacją Polski juniorów. Zgodziłem się, choć wszelkie ustalenia odbywały się poza mną. Rozmowy prowadził PZPN z Legią, a ja zostałem oddelegowany na lata 1981-1983 do kadry. Przejąłem po Mietku Broniszewski rocznik 1965 i od podstaw budowałem drużynę z graczy urodzonych w 1966 roku. A poza tym pomagałem Broniszewskiemu przy starszych chłopakach, jak Dariusz Dziekanowski czy Dariusz Kubicki. W 1982 roku pojechaliliśmy z rocznikiem 1963 na mistrzostwa Europy do Finlandii, gdzie zajęliśmy czwarte miejsce, co dało automatycznie awans na Mundial do lat 20. W efekcie rok później w Meksyku byliśmy trzecią drużyną na świecie. Wtedy szkoliliśmy takich piłkarzy jak Józef Wandzik, Jarosław Bako, Zbigniew Robakiewicz, Leszek Pisz, czy Krzysztof Warzycha. Było trochę chłopaków z roczników 1963-1966, którzy później grali w I lidze, a także w reprezentacji.

I znowu upomniała się o Pana Legia.

- Po dwóch latach pracy mój rocznik był przygotowany, ale padł rozkaz, że muszę wrócić na Legię. Nie dane było mi pojechać z zespołem na mistrzostwa Europy do Moskwy, bo w czerwcu wróciliśmy z Meksyku, a 1 lipca musiałem się zameldować na Łazienkowskiej. I tak się stało.

Aż do wyjazdu do Bydgoszczy?

- Tak. Wtedy nie chciałem pracować z pierwszą drużyną. Czułem, że najwyższy czas zacząć coś robić dla siebie. Wtedy Jurek Kopa wylądował w Legii po raz pierwszy. Sądziłem, że z racji mojego sukcesu z rocznikiem 1966, który jechał na mistrzostwa Europy, będę miał dodatkowy atut. Nic z tego. Zajmowałem się i naborem, i rezerwami, i pierwszym zespołem. Trzeba było to jakoś wytrzymać.

Obawiano się Panu zaufać?

- Najwidoczniej tak. Wtedy zadzwonił do mnie znajomy z Bydgoszczy i szybko podjąłem decyzję. Dostałem zgodę z Legii, co zresztą załatwiali działacze Zawiszy. Co ciekawe, byłem tam jakby na wypożyczeniu, bo cały czas miałem stopień oficera wojskowego. W Bydgoszczy spędziłem dwa lata z niezłym skutkiem. Najpierw uratowałem drużynę przed spadkiem. W kolejnym sezonie była dobra grupa ludzi, którzy chcieli coś osiągnąć. Dotyczy to zarówno działaczy, jak i piłkarzy. Wytworzyła się pozytywna atmosfera. W efekcie zajęliśmy drugie miejsce w II lidze, co dało prawo gry w barażach z GKS Jastrzębie. Na wyjeździe było 0-0, u siebie wygraliśmy 2-0 i 37 tysięcy ludzi na trybunach świętowało powrót do najwyższej klasy rozgrywkowej.

Frekwencja do pozazdrosczenia.

- Regularnie na mecze Zawiszy przychodziło po 17 tysięcy fanów. Daj Boże, żeby teraz w niektórych miastach tak było. Było zapotrzebowanie na dobry futbol w regionie. Wynikało to też z dobrej postawy drużyny, która starała się grać do przodu, strzelała bramki, a indywidualności również nie brakowało. Takim przykładem był bramkarz Andrzej Brończyk, w defensywie Darek Pasieka, w pomocy brylował Piotrek Nowak, więc było na kim budować zespół.

Rozmawiali Marcin Bodziachowski i Paweł Krawczyński

CDN